

Otoczcie siedzibę TVP

23 kwietnia 2015

W 2015 roku mija ćwierć wieku od kiedy w Polsce wprowadzono model demokracji opartej na formule reprezentacyjnej. Monarchia, nie demokracja, powiedzą niektórzy – mamy coś do powiedzenia – a jednak w tym modelu ustrojowym udział strony obywatelskiej jest zredukowany do minimum [1]. Charakterystycznym urządzeniem demokracji przedstawicielskiej jest to, iż raz na cztery lub pięć lat obywatele kraju zamieszkujący dane terytorium zapraszani są, zgodnie z obowiązującym kalendarzem, do urn wyborczych, gdzie posiadając niepowtarzalną okazję aby zakreślić krzyżyk pod właściwym nazwiskiem lub pod określoną listą wyborczą, mogą zadecydować o składzie parlamentu lub wyborze głowy państwa.

Podkreślmy, że jest to wybór czysto personalny lub koteryjny. Wybierasz człowieka lub partię. Podczas aktu głosowania przenosisz na nich własną wolę decyzyjną. Nazajutrz po ceremonii głosowania akt w którym wzięłeś udział kończy się, natomiast ludzie i ugrupowania najczęściej wskazywani, na kolejne lata zajmują urzędy posiadając łącznie, całkowitą moc decyzyjną. Reasumując, demokracja przedstawicielska ogranicza rolę obywatela do funkcji plebiscytowej, raz na kilka lat dokonuje on wyboru personalnego zrzekając się jednocześnie własnej woli decyzyjnej na rzecz obranego gremium, które przez wiele następnych lat może podejmować decyzje realne i merytoryczne, posiadające faktyczny wpływ na rzeczywistość, bez konieczności zwracania uwagi na wolę i rolę obywatela, który ich wskazał.

Wstęp tego artykułu mógłby być dobrym początkiem dla rozpisania planu reformy ustrojowej, lub inaczej, zniesienia go i powołania systemu politycznego zupełnie nowego. Wiedząc jednak, że nie nastąpi to od zaraz, pochylmy się w pierwszej kolejności nad tym, który już funkcjonuje i zastanówmy, co można by zrobić by funkcjonował on lepiej. Nie jest więc to

pytanie o to jakie ustawy należy uchwalić lub do czego przekonać posłów i prezydenta, a raczej o to jak mechanizmy funkcjonującej demokracji przedstawicielskiej naoliwić tak by pracowały jak najsprawniej i możliwie jak najbliżej zasad do jakich zmierzamy. Szukamy więc odpowiedzi na to w jaki sposób ścisnąć istniejącą pomarańczę, tak by wydusić z niej jak najwięcej życiodajnych soków.

W pierwszej kolejności należy zadać sobie pytanie na jakim etapie funkcjonującego systemu demokracji przedstawicielskiej, takiej jaką mamy obecnie w Polsce, obywatele mają największy wpływ na bieg spraw publicznych. Nie dzieje się to podczas wysłuchania publicznego przy okazji procedowania jakiejś ustawy; wszakże reprezentanci ludu – parlamentarzyści – mogą się odnieść do wniesionych wniosków strony społecznej, ale nie są w żaden sposób prawnie zobligowani by wdrożyć choćby jakąś ich część w życie. Po wyborze przez całą kadencję dany poseł może postępować tak jak chce i jest wolny od instrukcji wyborców, których gros zajętych swoimi sprawami i tak nie śledzi jego poszczególnych głosowań. Posłowi który ignoruje swoich wyborców grozi wprowadzić swoista kara w postaci braku reelekcji w przyszłych wyborach. Współcześni parlamentarzyści, otoczeni wizażystami i specjalistami ds. kreowania własnego wizerunku – pracującymi dla ich partii – nie wiele jednak się tą sankcją przejmują ponieważ znają ową słynną formułę Machiavellego, który napisał, że „tacy książęta dokonali wielkich rzeczy, którzy mało przywiązywali wagi do dotrzymywania wiary i którzy chytrze potrafili usidlać mózgi ludzkie, a na końcu uzyskiwali przewagę nad tymi, którzy zaufali ich lojalności” [2].

Teoretyczna zasada demokracji przedstawicielskiej zakłada, iż parlamentarzyści – reprezentanci ludu – reagują na opinię ludzi, ale jak zauważyliśmy, nie ma praktycznej reguły, która mogłaby ich przynaglić do takiego postępowania podczas podejmowania poszczególnych decyzji w trakcie trwania kilkuletniej kadencji. Konsultacje i terenowe wizyty posła lub

prezydenta jako jednostki, wreszcie jego dobra wola i przejęcie się głosem lub dola obywatelską, mogą sprawić, że będzie on służył za każdym razem ludziom. Takie postępowanie związane będzie jednak z jego wewnętrzną – jako człowieka obdarzonego wolną wolą – sankcją moralną, którą może w sobie wypracować, zupełnie ją odrzucić lub potraktować wybiórczo. Nie ma zatem w oddziaływaniu obywateli na swego reprezentanta w demokracji przedstawicielskiej prawnej reguły, która narzucałaby mu określoną linię postępowania. Młyny ustawodawcze i wykonawcze funkcjonują w demokracji przedstawicielskiej równie doskonale bez oglądania się na stronę obywatelską i żaden konstytucjonalista nie zarzuci reprezentantowi ludu, że działa wbrew prawu dlatego, iż postępuje wbrew instrukcjom i zapewnieniom przedwyborczym, bądź że potrząsa ustawą zasadniczą gdyż nie przejmuje się losem swego wyborcy, który nieświadomie padł ofiarą umowy opartej na lichwie – dopuszczonej przez prawo stanowione – i właśnie traci wszystko.

Gdy więc szukamy odpowiedzi na postawione na początku pytanie, co możemy zrobić by istniejący system demokracji przedstawicielskiej działał sprawniej w niedoskonałej formie w jakiej go ukuto – bez wpływania na proces ustawodawczy – gdzie wpływ strony obywatelskiej ma charakter moralny a przekucie go na prawo zależy od wolnej woli reprezentantów, zwrócić się powinniśmy w stronę tego obszaru systemu demokracji przedstawicielskiej w którym – zgodnie z rozwiązaniem ustrojowym – przewidziano największy udział strony społecznej.

Włoski teoretyk demokracji przedstawicielskiej, Giovanni Sartori, zadając sobie pytanie „gdzie szukać rządzącego ludu?” w ustroju, którego zasady wykładał, sam sobie odpowiedział: „podczas wyborów” [3]. W tym samym kierunku odsyła nas Schumpeter. I rzeczywiście jedynym momentem, w którym sumarycznie, wszyscy obywatele mogą zadecydować dzisiaj w Polsce o pewnym rozwiązaniu są konstytucyjne głosowania decydujące o obsadzeniu stanowisk w Sejmie, Senacie, na

urzędzie prezydenckim, w wyborach samorządowych, a także w Parlamencie Europejskim. Jak zaznaczyliśmy wcześniej, nie są to decyzje ściśle merytoryczne a personalne; w większości przypadków podporządkowane listom partyjnym – o wszystkim decyduje więc ostatecznie małe wyselekcjonowane grono tworzące związane ze sobą koterie zależności. Dlaczego dla zwolenników demokracji przedstawicielskiej zdanie społeczeństwa powinno ograniczać się tylko do okazynego głosowania personalnego? Powody są różne, kryje się jednak za tym przekonanie, że o losach spraw publicznych powinni decydować domniemani „lepsi”. Sartori twierdzi ponadto, że „tylko wybory wyrażają ogólny konsens, czyli opinię wszystkich” i wyraża przekonanie, iż „instrumenty wyborcze mówią dokładnie tyle, ile głosujący mają do powiedzenia” [4]. Nie dostrzega sensu uprawnień referendalnych, zupełnie odrzuca demokrację bezpośrednią zakładając apriori: „że przemilczana prawda jest taka, że nawet najbardziej skrajny zwolennik demokracji partycypacyjnej pojmuję, iż domaga się więcej niż naprawdę pragnie i dużo więcej, niż jest to pożądane” [5]. Teorie Sartoriego oddają działanie i logikę, którą kierują się demokraci przedstawicielscy w praktyce; wszyscy politycy zasiadający dziś w Sejmie RP reprezentują formacje przedstawicielskie – jeżeli reprezentują tylko obóz rządzący solidarnie blokują rozpozanie referendów i przychylne rozpozatrzenie ustaw obywatelskich.

Nie pochylając się nad wadami demokracji przedstawicielskiej, skoncentrujemy się na samym mechanizmie wyborczym w odniesieniu do bieżących plebiscytów wyborczych: majowych wyborach na urząd Prezydenta RP oraz jesiennym głosowaniu, które zadecyduje o składzie izb przedstawicielskich na następne cztery lata. Czyniąc to postąpimy zgodnie z zaleceniami demokratów przedstawicielskich, którzy doktrynalnie personalny plebiscyt wyborczy lansują na esencję systemu demokratycznego, za jego pośrednictwem legitymizuje się – ich zdaniem – władza ludu.

Instrument ustrojowy, który dla demokracji przedstawicielskiej, jej przejrzystości i podtrzymania, ma tak niebagatelne znaczenie, będąc źródłem, z którego czerpie ona swą legitymizację, musi być objęty szczególną ochroną, tak by nie stał się pustą formą zapełnioną z góry założonymi treściami. Święto demokracji, jak nazywają demokraci przedstawicielscy personalne plebiscyty, stanowi okazję wokół której z definicji koncentruje się uwaga społeczeństw funkcjonujących w ramach ustroju reprezentacyjnego. Jeżeli w ten jeden dzień, raz na kilka lat, ludzie suwerennie wskazują człowieka, który będzie ich solennie reprezentował, powinni mieć zapewniony pełen dostęp do informacji: kto startuje, dlaczego i czemu zamierza służyć. Wymóg ten w praktyce pociąga za sobą konieczność zapewnienia stosunkowo równego dostępu do publicznej anteny telewizyjnej startującym kandydatom oraz powstrzymanie tendencji do dominowania przez określoną opcję przestrzeni publicznej z przyczyn pozamerytorycznych. Wiadomości te powinny być tak skompresowane by o niemal same narzucały się tym, którzy zajęci swym obejściem, zostaną wybudzeni z długiego letargu politycznego by często spontanicznie, przypadkiem, oddać swój głos kiedy dzwony wybija „wyborczą niedzielę”.

Nawet najbardziej zatwardziali demokraci przedstawicielscy, którzy chcą widzieć „aktywny lud” przy urnie tylko raz na kilka lat doceniają znaczenie tego postulatu. Wśród warunków zapewniających względną autonomię opinii publicznej Giovanni Sartori wymienia „istnienie licznych i zróżnicowanych ośrodków wpływu i informacji tworzących całościową strukturę” [6]. Niewątpliwie, każdy może otworzyć dziś swoją stronę lub blog, a zjednoczone grono osób nawet internetową rozgłośnię, i dołączyć do tego chóru. W okresie gorączki przedwyborczej rozróżnić należy jednak prasę i dziennikarstwo zaangażowane lub agitacyjne, które – co nie jest same w sobie złem – kolportuje określone treści w celu wypromowania poszczególnych osób lub ideałów od ośrodków informacji, które same przedstawiają siebie i swoją misję jako latarnię lub puls

bijącego serca społecznego – i jak mają wpisane w statucie – dążą do dostarczenia zrównoważonej i obiektywnej wiadomości. Ich zadaniem ma być opisywanie wydarzeń i dostarczenie informacji – nie ocena. Nie będzie przesadą jeśli napiszemy, że obecnie nie ma żadnej ogólnopolskiej rozgłośni ani stacji, które będąc powołanymi do pełnienia funkcji tejże latarni, nie działały by na bakier z celami dla których je stworzono.

Stało się swego rodzaju tradycją, że partie polityczne w Polsce wysyłają swoich specjalistów ds. kształtowania wizerunku i public relations za Atlantyk by obserwowali wielkie widowisko jakimi stały się tamtejsze kampanie wyborcze [7]. Samo w sobie to nie dziwi, wszakże początkujący prestidigitor zawsze spogląda z zazdrością na sztuczki wielkiego mistrza. Faktem niezrozumiałym, a dla polskiego społeczeństwa manipulacyjnym, jest jednak dążność polskich mediów do jednoczesnego kopiowania wzorców wykreowanych przez amerykańskie środki przekazu. Przejawia się to w przeszczepianiu standardów, które towarzyszą amerykańskiemu systemowi politycznemu od dawna, a zawładniętego przez dwa wielkie końce tego samego kija – Republikanów i Demokratów – którzy jawią się wobec siebie jako jedyne możliwe alternatywy. Nie ma dziś w Stanach Zjednoczonych żadnych równoważących się sił które mogłyby sprostać tej alternatywie. Gromadząc olbrzymie środki na poczet struktur, kampanii i propagandy – przesadzające o zapełnieniu całej przestrzeni publicznej – funkcjonują one jako faktyczny plutokratyczny duopol zmieniający się miejscami na skutek wyborów. Amerykanie mogą tęsknić za faktyczną demokracją przedstawicielską, ... jednakże na ile w Polsce demokracja przedstawicielska, taką jaką mamy obecnie, zachowuje swoją właściwą substancję?

Przez całe długie lata, jakie dzielą jedne wybory od drugich, przez polskie stacje telewizyjne głównego nurtu – które nadal pozostają kluczowymi dostarczycielami wiadomości w granicach RP – przetacza się spór między głównymi koteriami parlamentarnymi i politycznymi. 80% czasu medialnego

poświęconego polskiej scenie politycznej zdominowane jest w nich przez wydarzenia i spory dziejące się wokół Platformy Obywatelskiej i Prawa Sprawiedliwości. Pozostałe 18% oddane jest innym ugrupowaniom parlamentarnym; nikłe 2% zahacza o pozostałe obszary krajowej polityki. Ostatnie 2% traktowane jest przez większą część roku, tak jakby w zasadzie nie istniało, a gdy nagle wspomina się o nim, robi się to w sposób mniej poważny niż traktowane są pozostałe formacje sceny politycznej. Dlatego o debacie kilkunastu mniej znanych kandydatów na urząd RP wspomina się w krótkim, prowadzonym z przymrużeniem oka, felietonie na koniec Wiadomości TVP [8] – podczas gdy Bronisław Komorowski czy Adam Jarubas zyskują możliwość zaprezentowania swoich poglądów w kilkunastoosobowej rozmowie sam na sam z prowadzącym główne wydanie serwisu informacyjnego TVP1 – TVP Info i to w godzinach największej oglądalności [9].

Proporcje te nie zmieniają się w momencie fundamentalnym, jakim jest okres przedwyborczy. Nawet gdy poszczególni kandydaci lub komitety wyborcze złożą już wymaganą pulę podpisów i Państwowa Komisja Wyborcza zatwierdzi ich start, nie posiadają oni zagwarantowanego prawnie, takiego samego, lub zbliżonego długością czasu antenowego, umożliwiającego zaprezentowanie im siebie i swojego programu. Codziennie przez kilka miesięcy i tygodni przed plebiscytem wyborczym odbiorcy wiadomości zasypywani są wizerunkami polityków, którzy zasiadają już w Sejmie a ich działania i programy są dobrze sprawdzone w praktyce. Przeważająca część czasu antenowego poświęconego kampanii przedwyborczej poświęcona jest utwierdzaniu sylwetek Bronisława Komorowskiego i Andrzeja Dudy. W każdym serwisie informacyjnym gromadzącym przed odbiornikami TV miliony ludzi wspomina się o nich w znacznym wymiarze czasowym, nie brakuje akurat jeszcze wzmianek o 3-4 kandydatach, ale jak pokazuje choćby doświadczenie kampanii prezydenckiej 2015, o pozostałych pięciu nie mówi się już wcale lub prawie w ogóle.

Powiedzieć możemy, że cała medialna orkiestra wyborcza na podstawie, której gros ludzi buduje swe preferencje i decyzje wyborcze zestrojona jest w taki sposób by wpasowywała się ona w rolę promowania faworytów, wokół których powinna skupić się uwaga „mądrych i poważnych obywateli”. Odpowiada ona więc amerykańskim wzorcom kampanii gdzie zakłada się zderzenie czołowych postaci, z góry namaszczonych do finałowej walki. Wracając do polskiej kampanii prezydenckiej 2015, utwierdzenie tego wzorca nie ogranicza się tylko do nierównego czasu antenowego jaki poświęca się poszczególnym kandydatom. Dziennikarze używają skonkretyzowanego języka i określeń mających wyeksponować ludzi lub partie, na które „warto zwracać uwagę”. Dlatego we wszystkich głównych serwisach informacyjnych TVP, Polsatu i TVN nazywa się Dudę i Komorowskiego „głównymi kandydatami” [10]. Za każdym razem są oni tytułowani jako „główni”, a więc w domyśle dysponowani do zwycięstwa. Graficzną ilustracją tego „przeznaczenia” są publikowane na bieżąco sondaże.

Niektórym te nierówności mogą wydać się nie znaczące, w końcu ludzie mają mózgi oraz wolną wolę i ostatecznie samodzielnie podejmą decyzję, nikt zdalnie nad urną wyborczą ich ręką nie pokieruje. Istnieją jednak sprawdzone mechanizmy kształtowania opinii publicznej, które w określonych warunkach, dostosowują reakcje wielu ludzi do treści wypełniających przestrzeń publiczną. W przypadku personalnych kampanii wyborczych jest już nim – samym w sobie – mechanizm rywalizacji, który czyni ludzi wybranych wygranymi, a tych dla których nie starczy urzędów, przegranymi. Każdy woli raczej zwyciężać aniżeli przegrywać, dlatego wyborcy skorzy są bardziej wybierać tych kandydatów, którzy i im pośrednio, poprzez rezolutny wybór, dadzą odczuć smak zwycięstwa – dodadzą splendoru „obozu zwycięzców”. Niewielu stawia na konie lub drużyny, które bukmacherzy skazali na opcję z góry przegraną. Jak powiada demokrata przedstawicielski Giovanni Sartori: „kto głosuje tak jak większość jest po zwycięskiej stronie. Kto głosuje wraz z mniejszościami jest po stronie przegrywających. Jego głos się

nie liczy" [11]. W potocznym języku mówi się o „głosie straconym”, o głosowaniu „na kogoś, kto i tak nie ma szans”. W społeczeństwie promującym sukces jako nadrzędny cel życiowy tylko człowiek nierozważny porywa się na coś, co nie ma większych szans powodzenia. Utracony głos wyborczy staje się synonimem niepowodzenia życiowego. Narracja o głównych kandydatach, eksponowanych w dodatku w przekazie medialnym na potęgę, wpisuje się w tym kontekście w czytelny mechanizm kształtowania postaw publicznych – tylko któryś z głównych ma bowiem „szanse”.

Jest to zatrważające i niezgodne z zasadami nawet demokracji przedstawicielskiej, jeżeli plebiscyt wyborczy, który predestynuje wszystko co może się zdarzyć w przeciągu najbliższych 4-5 lat w przestrzeni politycznej – poprzez wybór ludzi którzy będą decydowali – narażony jest na działanie tylu sił uniemożliwiających namysł i poznanie celu, programu oraz ludzi, którzy będą go wdrażali. Zamiast powołania wielkiej, medialnej agory tuż przed każdymi wyborami, służącej prezentacji sylwetek i ludzi oraz konfrontowaniu ich ze sobą, wyborcy, poprzez media głównego nurtu, otrzymują płótno na które nałożono już farby i kontury – każda z odmalowanych postaci ma już przypisane sobie miejsce.

Audycje Komitetów Wyborczych to jedyna jeszcze audycja, w której możemy obejrzeć spoty wszystkich kandydatów lub komitetów wyborczych i przekonać się, że jest ich nie dwóch, nie trzech, nie pięciu, lecz ośmiu, jedenastu, a nawet osiemnastu. Audycje Komitetów Wyborczych są jednak zdecydowanie za krótkie i zbyt przytłoczone obrazem emitowanym w serwisach informacyjnych by zrównoważyć dominującą narrację. Towarzyszy temu umacniająca się w ubiegłych latach tendencja przejawiająca się w niechęci do organizowania debat wyborczych i brania w nich udziału. W społeczeństwie korzystającym powszechnie z fal radiowych, przekazu telewizyjnego i rozwijających się z każdym rokiem narzędzi informacji, bezpośrednia konfrontacja kandydatów, poruszających cały

zespół skomplikowanych zagadnień, mających wpływ na sprawy polityczne, powinna być podstawowym narzędziem ułatwiającym podjęcie decyzji i służącym zdobyciu lub ugruntowaniu wiedzy. Sprawy toczą się jednakże w zupełnie przeciwnym kierunku.

Publiczna stacja telewizyjna, finansująca się dzięki abonamentowi, będąca telewizją państwową i jednocześnie posiadająca w swej misji pośrednictwo polityczno-społeczne – czego regularną ilustracją są transmisje orędzi prezydenckich, wystąpień parlamentarnych i kościelnych, a także uroczystości państwowych – ma w swym obowiązku zapewnienie przestrzeni, otwartej i łatwo dostępnej, służącej debatom przedwyborczym. Jeżeli wokół personalnych wyborów jest zorganizowana demokracja przedstawicielska to okres poprzedzający głosowanie nad urną powinien być wypełniony wydarzeniami związanymi z konfrontacją poszczególnych opcji. Konieczność tą można skwitować kolokwialnym wyrażeniem, iż wyborcom debata należy się jak „psu zupa”. Formuła debaty nie może być sprowadzona do poziomu łatwo przyswajalnego show. Spełni ona swoją rolę tylko wówczas gdy jej program oraz czas na nią przypadający posłużą wyczerpującej prezentacji i wymianie myśli. Publiczna debata przedwyborcza stać się musi zatem wielkim przedsięwzięciem, zakrojonym na szerszą skalę niż duża debata telewizyjna na jaką „przyzwolono” przed referendum akcesyjnym do Unii Europejskiej w 2004 roku. Oznacza to, że proporcja czasowa przypadająca na debatę powinna wynosić minimum 2 x 180 minut lub 4 x 120 minut i musi uwzględniać wolną prezentację programu, jak i rozmowy pomiędzy poszczególnymi opcjami lub kandydatami. Jest to niezbędne minimum, które powinno być uzupełniane o „dobre obyczaje” przejawiające się w postaci organizacji dodatkowych publicznych dialogów. I rzecz najważniejsza: udział w organizowanych debatach winny mieć zapewnione wszystkie strony które oddały się do dyspozycji wyborców.

Niskie standardy, a nawet bardziej brak tych standardów, sprawiają jednak, że w Polsce okres wyborczy jest pozbawiony

rzeczywistych debat lub też wyborcom dostarcza się okrojone modele dialogów przedwyborczych. Wielokrotnie oglądaliśmy już zafałszowane debaty, w których do studia zapraszano jedynie przedstawicieli pewnych opcji, uznawanych za faworytów; telewizja publiczna TVP organizowała również dwie osobne debaty: jedną dla „faworytów” i osobną dla tych, którzy według sondaży przedwyborczych mieli zająć niższe pozycje. Wybieg ten wpisuje się na każdym poziomie w scenariusz umacniania „mocnych” i marginalizowania „zmarginalizowanych”, realizowany na bieżąco w serwisach informacyjnych i programach publicystycznych Polsatu, TVN i TVP. Trudno wymóc na właścicielach Polsatu i TVN by zachowywali się sprawiedliwie i etycznie; są zarządcami stacji prywatnej i nawet jeżeli ich serwisy informacyjne są skrojone w taki sposób by wydawały się „latarniami które mówią jak się sprawy mają” – a w praktyce widzimy co innego – to nie ma dziś prawnej zasady, która chociażby w okresie przedwyborczym nakazywała im zaprzestanie promowania określonych, wybranych przez siebie opcji wyborczych.

Rzecz ma się inaczej ze stacją funkcyjną jaką jest TVP. Jako ciało spełniające misję publiczną zobowiązane jest ono do zapewnienia przestrzeni medialnej, zwłaszcza w okresie kiedy rozgrywają się ważne wydarzenia dla życia społeczeństwa i funkcjonowania państwa. W ustroju demokracji przedstawicielskiej trudno znaleźć ważniejsze wydarzenie niż odbywające się cyklicznie, co kilka lat, personalne wybory za pośrednictwem których wyborcy wskazują swoich „reprezentantów”. Uświęconą zasadą dla ludzi którym powierzono czuwanie nad ramówką TVP powinno być więc przygotowanie infrastruktury medialnej pod debaty wyborcze i prezentacje swoich poglądów – tym którzy zarejestrowali swoje komitety. Spełnienie tej zasady sprawiłoby, że w godzinach największej oglądalności dominowałyby debaty wyborcze i audycje komitetów wyborczych; przy czym debaty swą skalą i przebiegiem odpowiadałyby faktycznie powierzonej sobie misji, nie zaś projektowi jednorazowego programu publicystycznego.

Telewizja publiczna jaką jest TVP nie dąży jednak do spełnienia owego minimum, powielając wszystkie mechanizmy, które opisaliśmy w tym artykule, a służące zakłóceniu procesu wyborczego, poprzez zachwianie zasady równych szans. Tylko przed wyborami prezydenckimi 2015 roku Juliusz Braun i jego współpracownicy wpadli na zaskakujący pomysł zorganizowania debaty dla „trzech najmłodszych kandydatów”: Magdaleny Ogórek, Adama Jarubasa i Andrzeja Dudy [12]. Pomysł odrzucony przez osoby do których skierowano zaproszenie, jest kolejnym przykładem długiego łańcucha dezorganizowania procesu debaty wyborczej i niszczenia najważniejszego narzędzia ustrojowego demokracji przedstawicielskiej jakim są wybory. Wprawdzie już w kwietniu 2015 roku zmieniono formułę i zaproponowano, aby 5 maja odbyła się krótka 90 minutowa debata między wszystkimi kandydatami na prezydenta – czas poświęcony temu wydarzeniu wespół z dominującą przez cały okres wyborczy narracją nie wiele jednak zmienia.

Duda i Komorowski ukazywani są jako domniemani „główni kandydaci” i im poświęcane jest od 80% do 95% czasu antenowego w serwisach informacyjnych pomimo, że stanowią zaledwie dwóch z jedenastu zgłoszonych kandydatów na urząd Prezydenta RP [13]. Tych samych praktyk należy spodziewać się jesienią przed wyborami parlamentarnymi. Dzięki temu socjotechnicznemu zabiegowi ukazuje się ich jednocześnie jako „jedynych możliwych i wartych uwagi”. Antydemokratyczne zapowiedzi prezydenta RP Bronisława Komorowskiego, wieszczące, że nie weźmie on udziału w debacie ze wszystkimi kandydatami są zamazywane poprzez przesycenie jego osobą przekazu publicznego. Nie sposób uciec od uwagi, że od początku 2015 roku Bronisław Komorowski znacznie częściej jest zapraszany do rozmów publicystycznych rozpoczynających się zaraz po głównym wydaniu „Faktów” TVN oraz „Wiadomości TVP”. Jeżeli zsumujemy ilość wystąpień w tych programach urzędującego prezydenta w miesiącach luty-kwiecień 2015 z każdym innym trzymiesięcznym okresem pięcioletniej prezydentury, szybko przekonamy się, że jego obecność w nich cechuje się tuż przed wyborami wyjątkową

częstotliwością. Tym sposobem zapewnia mu się dodatkowy, nadprogramowy czas antenowy nie związany z wypełnianiem mandatu. Jego niechęć do występowania w debatach, czyli rezygnacja z czasu antenowego przewidzianego dla wszystkich, jest mu kompensowana zawiązką poprzez dodatkowe rozmowy polityczne nieprzewidziane dla większości kontrkandydatów na urząd prezydenta RP.

Przypomnijmy sobie podstawowe uwagi jakie padły u założenia tego artykułu. Zauważyliśmy, że demokracja przedstawicielska z założenia przenosi moc decyzyjną z poszczególnych obywateli na kilkusetosobową grupę reprezentantów, którzy przez następne lata są jedynymi faktycznymi dzierżawcami władzy wykonawczej i ustawodawczej. Doszliśmy do wniosku, że jedynym momentem, w którym obywatelska aktywność jest w pełni wykorzystana w ustroju demokracji przedstawicielskiej są wybory personalne, w przypadku polskim, organizowane cyklicznie co 4-5 lat. Wreszcie uznaliśmy, że skoro jedynym momentem w demokracji przedstawicielskiej, w której uśpiony „demos” jest wybudzany by wydał swe predyspozycje, są właśnie wybory personalne, to z definicji ludzie, obywatele i wyborcy winni mieć zapewniony dostęp do pełnego spektrum wiadomości, sylwetek i przekroju wydarzeń.

Jaki obraz uzyskaliśmy po tym gdy skonfrontowaliśmy wyzwania jakie niesie za sobą okres wyborczy z praktyką obowiązującą w Polsce w 2015 roku? Okazało się, że media publiczne, te najbardziej dostępne i najczęściej oglądane, stosują niedemokratyczne standardy zagłuszając przestrzeń, która powinna być oddana natenczas obywatelom, własnym przekazem przypominającym relacje z emocjonującego kolarskiego wyścigu, gdzie mówi się o „liderach” którzy rzekomo odłączyli się od peletonu, by zupełnie zminimalizować lub pominąć pozostałych. Jeżeli zarząd TVP przyzwala na takie standardy, jeżeli w ten rankor włączają się jeszcze bardziej zsubiektywizowane relacje innych głównych mediów lub tych najczęściej odwiedzanych, zarzut, że realizują one własną politykę, służącą określonym

grupom interesu, staje się twierdzeniem uzasadnionym.

Reasumując, dążenie do maksymalnego wykorzystania funkcjonujących mechanizmów demokracji przedstawicielskiej, wymaga zupełnego oczyszczenia przestrzeni wokół wyborów i okresu przedwyborczego, czyli jedyne go momentu, w którym dokonuje się i zamyka odnawiana co kilka lat legitymacja przedstawicielska. Niestety, trudno uczynić to nie posiadając wpływu na proces formowania prawa wyborczego, znajdującego się w rękach nielicznych. W tej sytuacji głównym narzędziem nacisku, może stać się jedynie nacisk moralny, odpowiednio uargumentowany, racjonalny i odporny na rezygnacje z powodu śmiechu dobywającego się z usytuowanego powyżej balkonu. Dlatego otoczcie siedzibę TVP i domagajcie się przywrócenia zasady równości i sprawiedliwości w najważniejszym momencie funkcjonowania ustroju przedstawicielskiego jakim są wybory personalne.

Autorstwo: Damian Żuchowski

Dla: WolneMedia.net

PRZYPISY:

[1] Zredukowanie lub wyeliminowanie wpływu strony obywatelskiej na bieg spraw publicznych w krystalizującym się porządku po 1989 roku od samego początku było fundamentalnym założeniem formujących się obozów partyjno-koteryjnych. W propagowanej masowo w 1990 roku przez sztab wyborczy Lecha Wałęsa broszurze autorstwa Piotra Wierzbickiego „Dlaczego właśnie on” czytamy: „Chcę mieć w Polsce nie żadne społeczeństwo obywatelskie, w którym za parawanem skołowanych obywateli będą dyrygować krajem tajnie działające klikki, nie żadnego eksperymentalnego ustrojowego potworka nie znanego światu a będącego poligonem doświadczalnym rewolucji, tylko normalny sprawdzony system wielopartyjny, odpowiadający wszystkim standardom Zachodu”.

[2] Niccolò Machiavelli, „Książę”, Kęty, s. 69.

[3] Giovanni Sartori, „Teoria Demokracji”, Warszawa, s. 115.

[4] Tamże, s. 143.

[5] Tamże, s. 152.

[6] Tamże, s. 130.

[7] „Ludzie prezydenta przyglądają się kampanii w USA”, <http://fakty.interia.pl/raporty/raport-wybory-2008-usa/news-ludzie-prezydenta-przygladaja-sie-kampanii-w-usa,nId,845325>.

[8] „Wiadomości TVP”, 23 marca 2015, debata kandydatów antysystemowych, <https://www.youtube.com/watch?v=cHkYTb70i0I>.

[9] „Dziś wieczorem w telewizji zapewne znów Komorowski”, <http://wpolityce.pl/polityka/241655-dzis-wieczorem-w-telewizji-zapewne-znow-komorowski-tvp-nieczysto-gra-przeciwko-dudzie-i-nawet-nie-udaje-ze-jest-inaczey>. Andrzej Duda i Bronisław Komorowski w TVN24, <http://www.tvn24.pl/wiadomosci-z-kraju,3/kampania-prezydencka-bronislaw-komorowski-i-andrzej-duda-w-tvn24,535603.html>.

[10] „Prawie połowa wyborców PiS uważa, że Komorowski wygra wybory”, <http://polska.newsweek.pl/sondaz-prezydencki-elektorat-pis-bronislaw-komorowski-wygra,artykuly,359849,1.html>. „Duda i Komorowski nie chcą rzucić wyzwania kandydatom antysystemowym”, http://www.tokfm.pl/Tokfm/1,103087,17794933,_Duda_i_Komorowski_nie_chca_rzucic_wyzwania_kandydatom.html. „CBOS: Komorowski cieszy się sympatią 62 proc., Duda – 29 proc.”, <http://wiadomosci.onet.pl/kraj/cbos-komorowski-cieszy-sie-sympatia-62-proc-duda-29-proc/rvhrz3>. „Sellin: O prezydenturę walczy dwóch kandydatów – Bronisław Komorowski i Andrzej Duda”, <http://telewizjarepublika.pl/sellin-o-prezydenture-walczy-dwoch-kandydatow-bronislaw-komorowski-i-andrzej-duda,19395.html>. Wykład Dudy o polityce zagranicznej,

<http://www.frona.pl/a/wyklad-dudy-o-polityce-zagranicznej-i-kompromitacja-sztabowcow-komorowskiego,47809.html>. „Komorowski kontra Duda – wizje gospodarcze”, <http://www.bankier.pl/wiadomosc/Komorowski-kontra-Duda-wizje-gospodarcze-7245196.html>.

[11] Giovanni Sartori, „Teoria Demokracji”, Warszawa, s. 171.

[12] PiS protestuje przeciw debacie wyborczej zaproponowanej przez TVP
<http://www.polskieradio.pl/5/3/Artykul/1398631,PiS-forma-debaty-zaproponowana-przez-TVP-niedopuszczalna>.